

Festiwałowa

Za nami cztery dni festiwalu. Widzieliśmy gości z Polski, Belgii i Litwy. Dziś jesteśmy na półmetku. Swoimi refleksjami na temat całej imprezy i poszczególnych jej elementów podzieliła się z nami Pani Joanna, która w teatrze jest stałym bywalcem, a festiwalowe spektakle widziała niemal wszystkie.

Jak ocenia Pani litewski spektakl?

Widziałam parę realizacji „Iwony, księżniczki Burgunda” i muszę przyznać, że ta mi się podoba. Plaża na scenie też wcale mi nie przeszkadza... W ogóle ci Litwini tak to fajnie grają... Chociaż początkowo myślałam, że Iwona to mężczyzna przebrany za kobietę.

Jak według Pani, wypadły przedstawienia „Ferdynand”?

Jestem zachwycona spektaklem z Kalisza. Bardzo mi się podobała ta forma musicalu. Uważam, że tam parę ról zasługuje na nagrody. Niestety, nie widziałam radomskiego przedstawienia, więc trudno mi dokonywać jakiś porównań.



A co myśli Pani o grze aktorów z Kielc?

Widziałam „Trans-Atlantyk” i myślę, że to kwestia gustu. Festiwal jest po to, żeby oglądać.

Pierwsza połowa festiwalu była więc udana?

Tak, zdecydowanie podoba mi się to nowe odczytywanie Gombrowicza. I myślę, że on się świetnie sprawdza w takich formach, tzn. że można go zrobić i klasycznie, i współcześnie. Świetny festiwal!

Rozmawiali: PAULINA i RAFAL

„Byliśmy dziś z klasą w zoo...”

Litewska wersja „Iwony, księżniczki Burgunda” wzbudziła kontrowersje wśród radomskiej publiczności. Części widzów spektakl się podobał, niektórym wydał się po prostu nudny, inni stwierdzili, że jest irytujący, a niejeden zniecierpliwiony skorzystał z przerwy, by opuścić teatr...



Przyznam szczerze, że byłam mocno zdezorientowana, kiedy zobaczyłam przed sceną ogrodzenie. Nie tyle nie pasowało ono do mojego wyobrażenia klimatu tej sztuki, co po prostu wydawało mi się nieuzasadnionym elementem scenografii. Szybko jednak przypomniałam sobie, w jakim wydarzeniu uczestniczę, i że nie będzie to klasyka, a raczej wariacja na temat „Iwony...”. W dodatku z litewskiego punktu widzenia. Na początku moją uwagę zwróciły kostiumy. Mocno uwspółcześnione, wręcz kiczowate. Bardzo ciekawy był strój Małgorzaty, ale trampki Ignacego uznałam już za zbyt młodzieżowe. Gra aktorów nie powaliła mnie na kolana, byli za bardzo powściągliwi, mało wyraźni, a może po prostu zbyt odbiegali od mojego wyobrażenia? Ktoś w rozmowie między aktami stwierdził, że to w końcu jest dwór królewski. Powaga zatem została uzasadniona.

Do końca nie wiem, czy to gra aktorska nie była na tyle zajmująca, czy po prostu przeszkadzała mi słuchawka w uchu. Aktorzy byli momentami nijacy, a momentami zachowywali się jak... zwierzęta. Od momentu, w którym to rozumiałam, patrzyłam na spektakl tylko pod tym kątem. Oczywiście stało się dla mnie, że siedzimy przed **klatką**, czułam się nawet jak w zoo. Zwłaszcza w momentach, kiedy aktorzy naśladowali różne piski i krzyki, podkreślone dodatkowo przez efekty dźwiękowe. Fryzury Filipa i Ignacego ludzko zaczęły przypominać kogucie grzebienie czy „czapki” na szypansich głowach. Obserwowałam więc ludzi-zwierzęta, ich popędy i instynkty kierujące zachowaniem. Bardzo emocjonalne i impulsywne. Zarówno w świecie ludzi jak i zwierząt zaistniała pewna hierarchia oraz nieodłączny element konkurencji między wyższymi i niższymi, w każdym znaczeniu tych słów. Bardzo wymowna wydała mi się scena, w której Filip poznaje Izę. Aktorzy tańczą... taniec godowy, niczym zwierzęta. Iza właściwie od początku starała się zwabić samca swoimi ruchami.

Spektakl odczytałam jako rzecz o ludzkiej naturze. Z jednej strony jest tak dzika, że człowiek, bez wstydu z tego powodu, niczym nie różni się od zwierząt czy ludzi pierwotnych. Z drugiej strony ta sama natura zostaje uwięziona w klatce. Czy są to tylko zwykłe, metalowe pręty? Czy może konwenanse, etyka albo morale? „Iwona, księżniczka Burgunda” według Litwinów pokazuje zwierzęcą i złą część człowieka. Odkrywa w Małgorzacie, Ignacym i Szambelanie złowrogie nastawienie do (nie wiedzieć czemu) gorszej Iwony, którą chcą ośmieszyc. Demaskuje zwykłą wolę przetrawiania

Żadna z postaci nie wyobraża sobie na poważnie przyjęcia Iwony do królewskiej rodziny, do wyższej klasy, do stada.

Spektakl nie wywarł na mnie ogromnego wrażenia, przyznać jednak muszę, że ukazanie Gombrowicza takiego było, co najmniej, zaskakujące. Nawet, jeżeli czasem irytowało, to też dobrze – w końcu o wzbudzenie emocji w teatrze chodzi. Siedząc na widowni, przypomniałam sobie słowa ze sztuki „Kąsania” Kampanii Doomsday – „jak dwie ręce, dwie natury ci dano”. I zaczęłam znowu zastanawiać się, skąd i po co wzięły się te pręty, za którymi poruszali się aktorzy...

No właśnie, kto tu siedział w klatce? Oni?

A może jednak my?

PAULINA LISIK

W poszukiwaniu prawdy...

Zawsze zastanawiało mnie, czy uniwersalność przekazu teatralnego ponad barierą językową jest więcej niż pustym frazesem. Język, a co za tym idzie, słowo, są narzędziem w rękach aktora, bo czymże więcej są niż systemem dźwięków, którym przypisujemy określony ładunek emocjonalny. Ten właśnie w teatrze, powinien być tak wyrazisty, by widz, bez względu na narodowość, obycie teatralne czy znajomość merytoryczną przedstawianego dzieła, był w stanie nawet nie dosłownie zrozumieć treść, ale podskórnie wyczuć to, co reżyser chciał podać do przemyślenia. Zadaniem aktora przecież nie jest dosłowne „granie”, bo na scenie jest ono kłamstwem, a chodzi o zbudowanie złożonego mechanizmu, na który składa się zrozumienie, poczucie, a wreszcie stanie się postacią. Dopiero, gdy aktor zada sobie taki trud, pojedynczy widz będzie w stanie odczytać to, co jest poza techniką aktorską, istotę spektaklu. Gorzej, jeśli któryś z tych elementów zostanie niedopracowany albo zaniedbany.

W spektaklu „Iwona, księżniczka Burgunda” State Youth Theatre z Wilna (nazwa nie wskazuje, by teatr ten propagować miał rodzimy język) warstwa techniczna jest opracowana dość poprawnie, obecne są grupowe, wyreżyserowane przejścia, aktorzy popisują się swoimi zdolnościami akrobatycznymi i tanecznymi, używają ogólnej ekspresji ruchu, czyli praca nad sobą została



wykonana, może nie na wybitnie wysokim poziomie, ale przynajmniej poprawnie. Widać dużą ingerencję reżysera, który miał bezwzględna pieczę nad każdym gestem i nie pozostawił miejsca na żadną improwizację albo też zostawił go za dużo, a aktorzy – specjalnie od początku unikam słowa „artyści”, bo nie każdy, kto wychodzi na scenę, staje się od razu artystą – nie zrealizowali niczego, poza podstawowymi założeniami swych ról, opierając się jedynie na tekście i na ściśle określonych działaniach.

Nadal wierząc w uniwersalność przekazu aktorskiego, chciałam, by beznamiętny głos tłumaczki w słuchawce był jedynie podporą do zrozumienia przekazu całości, a w pewnym momencie nawet starałam się odnaleźć ów sens tylko w przetworzonej wersji litewskiej, bo przecież język jest niczym wobec metafizycznego przekazu. Ale nie. Nauczeni tekstu na pamięć aktorzy, recytowali go praktycznie bez nadających sensu pauz i gestykulacji wskazującej na to, co dzieje się we wnętrzu ich postaci, tym właściwym, nie fizycznym.

Ktoś może powiedzieć, że owa gestykulacja była obecna i całkiem „wymowna” w niektórych momentach, ale sprowadzenie całości tylko i wyłącznie do buzującej samczej żądzy, którą mężczy bohaterowie mogli zaspokajać bez słowa sprzeciwu, w pewnym momencie zaczynała robić się nieco żalosa. Trudno było dać wiarę, że Gombrowicz napisał coś tak płytkiego. Na szczęście to nie autor zawiódł, a wykonawcy i twórcy inscenizacji, którzy nie uwzględnili w swojej interpretacji ogromu znaczeń, podtekstów i przede wszystkim „pstryczka w nos”, który daje nam Gombrowicz, poprzez swoje utwory bezustannie, acz subtelnie, próbuje otworzyć nam oczy na niedoskonałość systemu, w którym tkwimy my – ludzie, MY – Polacy, może właśnie dlatego ONI – Litwini, nie byli w stanie tego dostrzec. W litewskiej wersji roilo się od wulgarnych, oczywistych, odartych z jakiegokolwiek aryzmu, nawet więcej niż aluzji, aczkolwiek nie dochodzących do wiążącej się z pozbawianiem ozdobników, prawdy.



Nie wiem, czy jest to cechą jedynie polskiego sposobu budowania roli, ale nie dalo się dostrzec w oczach aktorów State Youth Theatre tej magicznej iskrę w oku, która pojawia się, gdy aktor nie gra, lecz staje się postacią. Które to w „Iwonie...” nie były uzupełnione inwencją własną wykonawców. Dlatego też, jeśli aktor nie zna odpowiedzi na podstawowe pytania, kogo gra i co chce tym powiedzieć, nie powinien wychodzić z garderoby.

W pierwszej i ostatniej scenie, nie wiadomo skąd i po co, pojawiają się dwaj panowie, najprawdopodobniej świta dworska, którzy byli zupełnie zbędni i nie wpłynęli znacząco na akcję, a ponadto nawet nie zrealizowali jednego elementarnego zadania (zresztą nieliczni to zrobili), polegającego na wpatrywaniu się w jeden punkt, w którym to miała umierać Iwona. Aczkolwiek, jeśli realizować owo zadanie zgodnie z prawami logiki, z których wynika między innymi, że jeśli patrzy się na jedną i tę samą osobę, która się nie porusza, to nie może ona być równocześnie w różnych miejscach, a aktorzy owi patrzyli się jak jeden mąż, każdy przed siebie. Wtedy też stali, ale przecież stanie samo w swojej istocie również jest zadaniem, bo przecież zawsze stoi się w jakimś celu. Oprócz osoby mówiącej, której słowotok dawał się wyodrębnić, reszta popadała w stan całkowitego niebytu, gdy przestawali wykonywać odgórnie zalecane działania, przestawali tym samym istnieć sceniczenie, a przecież człowiek, gdy nie mówi, wyraża więcej niż samymi słowami.

Przykłady niekonsekwencji można by mnożyć. Przykro jest oglądać aktorów, którzy nie odnajdują się w swoich zadaniach. Słowem, ja ich nie kupuję i im nie wierzę.

MAJA MAGIEROWSKA

„Iwona, księżniczka Burgunda” – opinie widzów

Pan Krzysztof: Spektakl podobał mi się, choć obawiałem się, jak będzie wyglądał. Konwencja, którą wykorzystał reżyser, była bardzo dobra. Nawet dosadnie wyrażony naturalizm, świetnie do niej pasował. Są głosy, że Gombrowicz stworzył postać Iwony bardziej jako portret psychologiczny, a nie fizyczny. Uważam jednak, że dzięki temu, iż Iwona była w tym spektaklu niedoskonała fizycznie, dodawało jej to tajemniczości i groźniejszego wyrazu. Myślę, że aktorki, które nie miałyby tak widocznych wad, nie wcieliłyby się tak dobrze w tę postać.

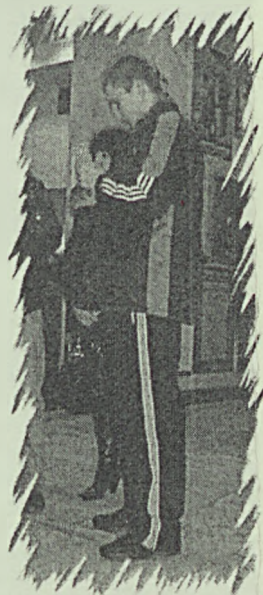
Pani Justyna: Spektakl był bardzo efektywny. Zwróciłam głównie uwagę na bardzo dobrą grę głównej bohaterki, Iwony. Po raz pierwszy miałam okazję spotkać się w radomskim teatrze z tłumaczeniem sztuki. To dobry pomysł, bo nie każdy musi znać litewski. Pani lektor dobrze spełniała swoje powinności, nie wczuwała się i jej głos był chłodny, obojętny. Dzięki czemu można się było skupić na odbiorze spektaklu.

Siedemnastoletnia Iga: Zachwyciłam się tym spektaklem. Wcześniej się przygotowałam; dużo na ten temat czytałam, rozmawiałam ze znajomymi. Dobrze się bawiłam, często się śmiałam. Nie dało się po prostu nudzić. Przedstawienie było przystępne. Balam się, że aktorka grająca Iwonę w ogóle się nie uśmiechnie. Na szczęście na końcu, podczas ukłonów, zrobiła to. Wyglądała bardzo ładnie. Będę jeszcze na „Trans-Atlantyku” i nie mogę się go doczekać.

Marta i Nina: Przedstawienie, według nas, niezbyt udane. Najbardziej przeszkadzała nam kreacja postaci Iwony. Według nas Gombrowicz nakreślił bardziej schemat niedoskonałości psychologicznych, niż utomności fizycznej. Drażniła nas dosadność i bezpośredniość. Reżyser wyłożył wszystko na wierzch, w ten sposób, że sztuka nie przypominała praktycznie Gombrowicza.

Pani Małgorzata, nauczyciel języka polskiego: Przyszłam na ten spektakl z moimi uczniami z gimnazjum. Sztuka bardzo się podobała zarówno młodzieży, jak i mnie. Spełniła swoje zadanie, jakim jest przekazanie prawd moralnych. Na pewno zawiodłam się. Tylko szkoda, że to chyba jedyny spektakl, który zobaczę podczas tego festiwalu.

Gosia i Piotrek: Sztuka nam się podobała, a szczególnie gra aktorska, ekspresyjność Królowej Małgorzaty. Nie było zastojów i nudy.



rozmawiał: Damian Maciąg

W Polsce ludzie rozumieją teatr

Tytułowa postać dramatu „Iwona, księżniczka Burgunda” jest bardzo małomówna. Prawie w ogóle się nie odzywa. My jednak mieliśmy odrobinę szczęścia. Udalo nam się z nią porozmawiać. Odtwórczyni roli Iwony w spektaklu State Youth Theatre z Wilna pani Ingrida Daunoravičiūtė okazała się wcale nie być aktorką...



Jak się Pani grało przed polską publicznością?

Rozumiem, co znaczy Gombrowicz na polskiej scenie. Podobnie jak cała grupa, bardzo denerwowałam się przed występem. Polska publiczność była bardzo skupiona i jednocześnie wrażliwa. Jesteśmy pod wrażeniem polskiej publiczności. I polskiej kultury w ogóle. To publiczność inteligentna i czuła na wszystkie sceny. Na pewno inna niż na Litwie.

Jaka jest różnica między litewską a polską publicznością?

Na Litwie ludzie chodzą do teatru przede wszystkim dla rozrywki, tutaj w Polsce przychodzą ludzie, którzy rozumieją teatr, przychodzą dla teatru.

Czy Gombrowicz jest znany na Litwie?

Nie. W tamtejszych teatrach można spotkać tylko „Iwonę...”, a oprócz niej „Ślub”.

Lubi Pani twórczość Gombrowicza?

Tak, ale bardziej umysłem niż sercem. Nie jestem aktorką, tylko krytykiem teatralnym.

Czy w związku z tym było Pani trudno odnaleźć się na scenie?

Wszyscy aktorzy z zespołu są prawdziwymi fachowcami. Bardzo mi pomagali, dlatego nie sprawiali mi to trudności.

za pomoc w tłumaczeniu serdecznie dziękujemy panu Zbyszowski

redakcję tworzą uczniowie radomskich szkół:
Zespół Szkół Budowlanych – Magda Kowalik
Zespół Szkół Budowlanych – Piotr Pomarański
Zespół Szkół Hotelarskich i Agroturystycznych – Karolina Suska
III LO im. D. Czachowskiego – Rafał Koleut,
IV LO im. T. Chałubińskiego – Damian Maciąg,
VI LO im. J. Kochanowskiego – Maja Magierowska
oraz studenci Paulina Lisib, Nikola Cisiełska, Lukasz Chiranzowski
autor logo „Festiwalowej” – Mikołaj Ludwiński
koordynacja działań, skład, redakcja, korekta – Jarosław Basaj



opieka redakcyjna
i patronat